

Nowy kościół w Porębie, sentymentalny J. Wycech pisze znad Buga,
zima przyszła wcześniej do Nura, cudowne rozmnożenie łąk i pól w Puszczy,
śmierć pod kołami autobusu w Ostrowi, a pod Ostrowią rozbój na drodze

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie:

Fragment mapy osiedli niemieckich kolonistów w środkowej Polski w latach 30. XX wieku.

Albert Breyer, *Karte der Deutschen Siedlungen in Mittelpolen. Maßstab 1:500.000*, Leipzig :

Bibliographisches Institut AG, 1938.

Źródło: Repozytorium Cyfrowe Instytutów Naukowych.

W Porębie poświęcono kamień węgielny pod budowę nowej świątyni.

Cytujemy list, którego autorem jest J. Wycech. Podejrzewamy, że to ten sam J. Wycech z Wilczogąb, którego epistołę zamieszczoną w roku 1883 w „Gazecie Świątecznej” publikowaliśmy już na naszych łamach. Tamten list był rzeczowy i przyniósł sporo informacji o życiu na lewym brzegu Buga. Tym razem pan Wycech dał się uwieść muzom poezji, a myśl jego uleciała wysoko.

Zima zawitała w okolice Nura, nim jeszcze wykopano z pól wszystkie ziemniaki, a to przecież podstawa nadbużańskiej diety. Inwentarz zaskoczony atakiem mrozu wraca ze smutkiem z pastwisk do obór, natomiast uczniowie zmierzają z radością ku nowo pobudowanej szkole.

W Puszczy źle się dzieje. Skończyły się dla Kurpiów dobre czasy, gdy władze przymykały oko na skryte karczowanie borów pod łąki i pola. Teraz, by dzieci wyposażyć, trzeba gospodarstwa dzielić, a obdarowani nie okazują choćby i odrobiny wdzięczności. Zrzucają „z wozu rodzonych ojców swoich, chcących się z kim zabrać do kościoła”, no, chyba że zapłacą za przejazd tym wozem i konikiem, które jeszcze niedawno do nich należały.

Nie lepiej jest w Ostrowi. Ruch automobilowy tam taki, że przejście przez ulicę to hazard kończący się czasami tragicznie. Pod Ostrowią nie jest wcale bezpieczniej, bo zbójcy rabują podróżnych na drogach.

Opublikowany przed dwoma tygodniami pierwszy odcinek rozmowy z panią Moniką spotkał się z zainteresowaniem czytelników, oto więc następny. Pani Monika zjechała jesienią do Warszawy z mocnym postanowieniem wykonania trawnika w następnym roku. Są tacy, co myślą, że ci, pełną gębą ogrodnicy, a także ci, których bakcył ogrodnictwa ledwo co dopadł i sami o tym jeszcze nie wiedzą, zimę spędzają w błogostanie, nie myśląc o swym ogródku. Mylą się! Bo przecież to najlepszy czas do snucia planów na następny sezon, przeglądania Internetów i katalogów, w poszukiwaniu tego, co dla ich edenu będzie najlepsze. Pani Monika przyznaje po latach, że piękna murawa stała się jej obsesją. Przeszukiwała dziesiątki dzieł o sztuce wykonania budzącego podziw trawnika. Przeszukiwała fora w poszukiwaniu porad, jakie nasiona traw, nawozy, rodzaje gleb, narzędzia są najlepsze i niezbędne. Dysponując rozległą, wręcz ekspercką wiedzą jeździła po sklepach wielko- średnio- oraz małopowierzchniowych, oglądała, dotykała. Mnogość oferty przyprawiała o zawrót głowy. Z początkiem marca odkryła z przerażeniem, że choć głowę ma pełną teorii, to nie dysponuje choćby ogrodniczymi

rękawiczkami, nie mówiąc już o bardziej skomplikowanym osprzęcie, no bo jak tu wybrać ten najlepszy spośród przeogromnej oferty.

Wpadła na szczęście na genialny pomysł. Wypisała na karteczkach nazwy odwiedzanych wielokrotnie, ale wciąż bezowocnie sklepów. Wrzuciła karteczki do salaterki, po czym wylosowała jedną. Umówiła się z dysponującym przyczepką samochodową znajomym, że wspólnie tam pojadą. W sklepie odrzucała oferty najtańsze i najdroższe, a wyboru z tych pozostałych dokonywała metodą „chybił, trafił”. Z wypchaną po brzegi przyczepką trzykrotnie obracali między stolicą a okolicą nadbużną, a na karcie kredytowej pani Moniki pojawił się niemały debet.

Nadszedł kwiecień. Ambitna, dzielna kobieta postanowiła wcielić swą trawnikową wiedzę w życie. Doprowadziło to do niewielkiego ochłodzenia jej aktywności towarzyskiej, bo przecież historia wytyczyła jej inne zadania. Pomimo wielości posiadanych ogrodniczych ustrojstw oraz rycia w ziemi od wschodu do zachodu słońca, nie było widać końca harówki. Na szczęście, sąsiedzi zaoferowali jej pomoc w postaci namiarów na tubylców, specjalizujących się w pracach zleconych, a przy tym dość solidnych i niespożywających trunków alkoholowych w ilościach ponadstandardowych. Czyżby ta zmiana stosunku do niej sąsiadów, wynikała z faktu, że zaczęli widzieć w niej, taką jak oni dziwaczkę? Na samą myśl przeszły panią Monikę ciarki – Nigdy! Przenigdy! A kysz!

Gdzieś w środku maja, po kilku deszczowych i ciepłych dniach, klepisko poczęło przybierać odcień zielony. Aby oddać reakcję pani Moniki na widok tego dziwowiska, przytoczymy jej słowa:

– Cieszyłam się jak głupia i sama nie wiedziałam, dlaczego?

Pod koniec maja, miała już na podwórku coś, co od biedy, a właściwie od bardzo wielkiej biedy można nazwać trawnikiem. Nieco pomarkotniała, bo nie był to efekt, którego oczekiwała, a określane przez młodzież jako „wow”, ale sąsiedzi pocieszali ją, że początkowo mieli to samo, a wystarczyło ledwie 8-10 lat codziennej troski, trudów oraz zabiegów, a murawa jest, jak się patrzy. Perspektywa 8-10 lat ciężkich robót wydała się naszej znajomej mało zachęcająca.

Wreszcie, przyszedł czerwiec i czas na pierwszą w sezonie huczną imprezę – oj, działa się. Było wesoło, ale nie wpłynęło to najlepiej na kondycję trawnika. Sytuacja powtórzyła się w następnym tygodniu, a murawa znalazła się w stanie terminalnym. Pani Monika postanowiła nieco okiełznać swe rozrywkowe żądze i osobom zapowiadającym swój przyjazd odpowiadała, że jest chora, więc może za trzy tygodnie. W tym czasie udało jej się nieco reanimować trawnik, choć do stanu z przełomu maja i czerwca było mu daleko. W lipcu doszło do kolejnego party, a zabawa zapowiadała się szampańsko, bo przecież wszyscy cieszyli się z cudownego ozdrowienia gospodyni. Pani Monika nie była jednak w najlepszym humorze, co psuło ogólną atmosferę. Z jakąś niechęcią patrzyła na dzieci uganiające się za piłką i ośmieliła się nawet zwrócić uwagę, że nie trzeba wrywać wielkiej kępy trawy przy każdym kopnięciu, a kochające mamy przyjęły gderanie pani Moniki ze zrozumiałym niesmakiem. Zbeształa nawet psa, który wykopał cztery jamy, a raczej groty. Gdy była w kuchni, doszły ją głosy rozmawiających za oknem przyjaciółek. Zgadzały się, że z Monisią jest coś nie tak, że po chorobie nie doszła jeszcze do siebie.

Nasza znajoma wykorzystała domniemaną przez innych słabość do ograniczenia częstotliwości imprez o ponad połowę. Zauważyła, że dni, które spędza w ciszy w ogrodzie, zaczynają jej

sprawiać przyjemność. Widząc krzątanię pani Moniki, sąsiedzi podarowali jej kilka krzaczków oraz dwa drzewka w formie badyli, które wkopała w ziemię, pieczołowicie podlewała, a we wrześniu dwa krzaczki przesadziła. Sporo czasu zajmowało jej też grabienie i koszenie. Imprezowania nie zakończyła jednak całkowicie, a pewnego dnia, na widok psa (mastiff angielski, waga trudna do określenia, ale z pewnością powyżej 70 kg), biegającego radośnie z krzaczkiem w pysku, o mało nie padła zemdlona. Był to przecież krzaczek, którym tak troskliwie się opiekowała, zaczęła go nawet przycinać, ale tak z miłością, maciupko, ot tak dla samej radości opieki nad roślinką.

Skończył się sezon. Nadszedł czas przeglądania Internetów i katalogów. Teraz pani Monika patrzyła na wszystko już bardziej fachowym okiem. Przynajmniej połowa narzędzi, które zakupiła wiosną, okazała się nieprzydatna, z tych zaś pozostałych połowa była szmelcem wyginającym się i łamiącym po pierwszym, a najdalej po kilku dniach pracy. Tymczasem teraz potrzebowała sprzętu w jeszcze większej liczbie i to bardziej wyrafinowanego, bo naszej ogrodnicze zamarzył się skalniak, czyli coś, co osobom o ubogiej wyobraźni kojarzy się z kupą bezładnie porzuczanych kamieni, romantikom zaś ze wspaniałym łańcuchem górskim, porośniętym karpacką lub alpejską, rachityczną, ale urzekającą roślinnością. Przed zjazdem na zimę do stolicy dokonała drobiazgowej lustracji swych włości i doszła do przykrego wniosku, że jej eden to coś pomiędzy półpustynią i stepem. Postanowiła zamienić swoją posesję w istną dżunglę, ale etapami. Wystarczy, gdy w pierwszym roku zasadzi kilkadziesiąt krzaczków, bylin, drzewek, a do tego zregeneruje trawnik i urządzi grządkę warzywną. Nie będzie zatem dla czytelników zaskoczeniem, że pani Monika, dotąd namiętna pożeraczka powieści kryminalnych, zamieniła się w entuzjastkę lektur rolniczo-ogrodniczo-sadowniczych, a nawet budowlanych oraz tych dotyczących małej, ogrodowej architektury, bo przecież tego wymagało staranne przygotowanie się do budowy skalniaka. Podczas zimowych dni stoły, parapety, stoliczek przy łóżku, spory fragment sypialnianej podłogi, a nawet łazienkę poczęła niczym papierowy bluszcz atakować, zajmować i okupować stosowna literatura. Nawet lądujące wcześniej w pojemniku na makulaturę prospekty reklamowe marketów budowlanych i ogrodniczych przeglądała teraz chciwie, zaznaczając, co ciekawsze oferty.

Ciąg dalszy nastąpi.



[„Przegląd Katolicki”, nr 31 z 1 sierpnia 1878 r.]

Dnia 16 lipca r. b. we wsi Porębie, diecezji płockiej, ks. Jarnutowski dziekan dekanatu ostrowskiego, w asystencji duchowieństwa dekanalnego, poświęcił kamień węgielny pod murujący się kościół, większy i wspanialszy, w miejsce starego i nader szczupłego, staraniem ks. Jabłonowskiego administratora parafii Poręba, a kosztem parafian. Nabożeństwo parafialne odbywa się obecnie w nowo pobudowanej kaplicy drewnianej.

[„Zorza”, nr 30 z 24 lipca 1884 r.]

OKOLICE NAD-BUŻNE.

Piękna ta nasza rzeka Bug, wije się jak wąż po trawie i modremi zakrętami wśród zieleni posuwa zwolna swe wody. Czasem się skryje pomiędzy domami, nad brzegiem jej rozrzuconych wiosek, to znów wychyli jasne lica, jak młoda panienka, gdy wygląda z chatki swej okienkiem, i płynie, płynie coraz wężej, coraz niewyraźniej, aż wreszcie ginie między wzgórzami, łącząc się z widnokrzem nieba. Nad jej brzegami, gdzie tylko latem spojrzysz, wszędzie pola pokryte zbożem: tu żółcą się pszenicą, tam bieleją dojrzewającym żytem lub jęczmieniem, a żyzne łąki, ten żyjący kobierzec ziemi, ręką natury utkany, zajmujący niziny między wzgórzami, piękną swoją zieloną odbija od fal kołyszącego się zboża, którem nagość ziemi w najpiękniejszy przyodziewa sposób. Te to łąki i zboża głównie stanowią tej okolicy ozdobę. Piękny, cudny to widok, bo gdy słońce promieniem swoim je ozłoci, a wiatr dmuchnie po trawie i schylonych kłosach zboża, to nagle cała powierzchnia ziemi tak daleko, jak tylko okiem dojrzeć można, zaczyna się ożywiać, poruszać, falować, bałwaniąc się, i tak cię ułudzi, że zdaje ci się, iż stoisz w pośród rozigranego zboża, co chwila, wodami swemi, chcącego cię zalać.

Ta ruchoma powierzchnia ziemi, przy najłżejszym powiewie, brzmi uroczystym hymnem, co duszę naszą religijną przejmie wzruszeniem. A jednak jest ktoś taki, czyją sprawą ten świat dziwów stanął, który przed wieki dał im początek, który je dotąd ponawia i utrzymuje, i który sam tylko wie o ich końcu. To wszystko w każdej chwili Boga ci obwieszcza. On to wszystko stworzył i wszystkim rządzi. Czyż więc potęgi i mądrości Jego nie uznasz, karnego nie ugniesz kolana i z pochylonem czołem, w pokorze ducha, hołdu, czci i uwielbienia mu nie złożysz? Lecz uczucie wszechwładnej jego potęgi, najżywiej się roznieca wśród burzy...

Zaledwie daleki grom się odezwie, umilka wesoły śpiew ptactwa, cisza następuje po miłej wrzawie, same nawet kłoski jakimś tylko głuchym odzywają się szmerem, rzecbyś gotów, że wszystkie milkną głosy, aby w obawie słuchały Tego, który im wszystkim rozkazuje. Przeciągły łoskot gromu poważnie się rozlegając, obudza w duszy religijne uczucia i daje ci czuć całą potęgę owego głosu na górze Synaj, przed którym zawsze drży przyroda. Na rozkaz Jego umilknie burza; spocznie rozkołysana powierzchnia ziemi; kłosek orzeźwiony, jakby kroplami rosy zabłyśnie; trawka podniesie pochylone swe czoło; rozleje się tchnienie ziół wonnych i ptactwo nowem ozwie się kwileniem, co wdzięcznie się rozlegnie w odświeżonym powietrzu.

Pomiędzy tak zielonemi trawami i kołyszącymi się zbożami, widać dosyć gęsto rozpostarte wioski, które patrząc ku niebu swojemi chatami, topoliną i inną drzewiną, wyglądają, jak berlinki z rozpuszczonymi żaglami.

Podlasiak znad Buga J. Wycech.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 60 z 26 października 1898 r.]

Z nad Buga (17 paźd.). Jesteśmy u progu zimy, ale przedwcześnie, Dzień św. Jadwigi zrobił nam niespodziankę... niemiłą. Rano było 4 stopnie mrozu, a przez cały dzień wiał przejmujący wichur. W nocy z 16 na 17 najniespodziewaniej spadł śnieg, pierwszy w tym czasie, a sypał przez cały prawie dzień, Jakkolwiek dniem ociepliło się o tyle, że śnieg topniał, niemniej przecie, warstwa ok. 2 cm. gruba, okrywała ziemię. Zjawisko atmosferyczne niepamiętne o tej porze, a tem smutniejsze, że kartofle w wielu miejscach jeszcze nie wykopane. Należy dodać, że kłęby kartofli leżące w ziemi tuż pod powierzchnią, powarzone, bo ziemia ścięła się od mrozu prawie na 2 cale. Inwentarz żywy, zmuszony pozostać w oborze, gwałtem ucieka na paśnik; dopiero przekonawszy się, o niemożności korzystania z podnożnej paszy, wraca smutny do domu. Jakkolwiek bocianów nie ma, bo już odleciały, ale jeden poturbowany przez pobratymców został, a wywzajemniając się za przytułek dany, roznosi żywe lalki i przysparza kłopotu młodym mężatkom. Ostrzegaj się boćku, bo masz sporo wrogów i jeśli cię dostaną do rąk, należą ci w gardziel monopolówki z miodem i różnemi przyprawami. Wody w Bugu mniej jak zwykle w tym czasie. Nurska szkoła raz przecie skończy tułaczy żywot, a zacnie na własnych śmieciach egzystować.

Służka.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 23 z 21 marca 1903 r.]

MORALNOŚĆ I UMORALNIENIE KURPIÓW.

(Dalszy ciąg).

Prócz wzrostu ludności, na utrudnienie warunków bytu na Puszczy złożyły się inne, czysto miejscowe przyczyny. Jak wiemy, Kurpie mieszkają wśród dużych borów i lasów. Dopóki więc drzewo nie miało żadnej wartości albo bardzo małą, urząd leśny i prywatni właściciele z wielką łatwością pozwalali im karczować coraz większe obszary. W miarę więc wzrostu ludności przybywało i ornej ziemi i łąk, jak to widzimy z nazw różnych pól i miejscowości: stare włóki, nowe włóki, stare płusy¹, nowe płusy, stare naddawy, nowe naddawy i inne tym podobne nazwy spotykane w wielu wioskach na Puszczy. W wielu też miejscach, jeszcze na kilka wiorst od wioski znajdują się wśród głuchego boru różnej wielkości pola orne, które urząd leśny za małą opłatą pozwalał karczować. Znacznie jeszcze więcej karczowali Kurpie na moczarach, na

¹ Płusa – to wydłużony, składający się z 12 zagonów pas ziemi [przyp. aut. oprac.].

których niepewność granic i niedostępność miejsc utrudniały kontrolę i pozwalały Kurpiom rozgospodarowywać się na dobre. Wskutek tego też w wielu wioskach, w których podług tabel osady są zupełnie równej wielkości, w rzeczywistości jedne są znacznie większe od drugich. Najczęściej osady mają równe obszary pól ornych, chociaż to nie zawsze bywa; łąk zaś tem więcej jest na osadzie, czem bardziej nie leniwili się dawniejsi właściciele osad karczować lasy. Jedne więc osady mają łąk zaledwie na kilka „stożków”, na jakie zwykle mierzą łąki na Puszczy, inni zaś mają po kilkadziesiąt stożków siana. Wskutek tego niejedna osada, która podług tabeli powinna mieć zaledwie kilkanaście morgów, posiada dwie włóki i więcej, jak się okazało przy nowych pomiarach na Puszczy, przy których również przekonano się, że i ornych pól wiele Kurpie posiadają poza osadami nadanymi.

Leśnego, a niedawnego pochodzenia wielu łąk na Puszczy dowodzą ich nazwy, gdyż w wielu miejscach nawet wielowłókowe obszary łąk, na których bardzo rzadkie kępy krzewów i pojedyncze olsze wskazują na ich leśne pochodzenie, do dziś jeszcze nazywają lasami i żaden Kurp nie powie, że idzie na łąkę, tylko „do lasu”.

Wskutek więc tej łatwości rozszerzania osad i mniejszej ilości mieszkańców, ziemia na Puszczy do ostatnich czasów nie miała wielkiej wartości, nie było więc i podziału osad i nieodłącznych z podziałem ciężarów. – „A czy to po dawne roki miał kto jaki kłopot z dzieciakiem i trzeba mu było aż sta rubli wykładać! – Dał mu trochę bydełka posagu i wdał go, gdzie w miejsce”. Wskutek więc łatwości znalezienia owych „miejsz”, Kurpie wyposażali dzieci wyłącznie inwentarzem, uchowanym na osadzie, jaki też tylko pod wyrazem „posag” pojmują, bo pieniędzy, jakie im obecnie dają, nie nazywają już posagiem, ale oddzielnym wyrazem „spłatka”. – „Dostał dwa sta rubli splatki i troje bydełka posagu”. – „Walek zapędził wczoraj posag do ojców” itp. mówią powszechnie dzisiaj.

Pieniężne więc splaty z osady są zupełnie nowym czynnikiem na Puszczy i wywołały głównie to przesilenie ekonomiczne, jakie Kurpie obecnie przechodzą. Przystosowanie się do nowych warunków ekonomicznych odbywa się lżej względnie na osadach jeszcze nie rozdrobnionych, na których przy żelaznej swej oszczędności Kurp „mści się” jak może, jak oni mówią i powoli oczyszcza osadę z długów. Na rozdrobnionych osadkach, przy nędznym gospodarstwie, jakie Kurpie w ogóle prowadzą, nie może pomóc i najtwardsza oszczędność, gdyż cały czysty dochód, jaki by Kurp mógł mieć z osady, pochłania utrzymanie koni, jakich dotychczas była tylko para na całej osadzie, obecnie zaś tyleż chowa każdy z właścicieli połowy osady. Wskutek tego więc konie na rozdrobnionych osadach coraz bardziej nędziejają i zanika jedno ze źródeł dochodu, jaki Kurpie mieli ze spieniężania znanych powszechnie na okolicznych jarmarkach kurpiowskich mierzynów², jednocześnie zaś zwiększa się wydatek na wyżywienie zbytecznej pary koni, gdyż i przy najoszczędniejszym żywieniu ich – utrzymanie ich dość dużo kosztuje. Ratuja się Kurpie, jak mogą, wynajmując się furmankami do zwożenia drzewa z okolicznych borów, gdyż mając podwójną ilość koni do obrobienia pierwotnej osady mają na to więcej czasu. Dochód ten jednakże jest tylko pozorny, gdyż przy niedostatecznym żywieniu koni do reszty je marnują w uciążliwej zwózce i wielu z nich zaciąga dług na kupno nowych, chciwiąc się zaś na częstsze zarobki, coraz więcej zaniedbują uprawę roli. Kurpie wiedzą i rozumieją, na jakie straty ich naraża chowanie zbytecznych koni na rozdrobnionych osadach. Pomimo to jednakże prawie żaden z nich nie może się odważyć na chowanie tylko jednego konia, gdyż

² Mierzyn – niewielki, odporny na trudy, o małych wymaganiach pokarmowych koń kurpiowski [przyp. aut. oprac.].

wobec znacznych odległości rozrzuconych w licznych miejscowościach pól w szachownicy, zwózki siana z moczarów i innych miejscowych przyczyn obrobienie wszystkich robót na osadzie w jednego konia nieraz jest uciążliwe, na pomoc zaś współwłaściciela osady w trudniejszych wypadkach nie może liczyć, chociaż tym współwłaścicielem najczęściej jest jego rodzony ojciec, brat lub szwagier.

Tu w całej pełni występuje kurpiowski egoizm, mała ich uczynność sąsiedzka i wielki brak miłości bliźniego, wskutek czego nie tylko nie mogą dojść do zrozumienia własnej korzyści z wzajemnej uczynności sąsiedzkiej, ale jeszcze się radują z kłopotów sąsiada i cieszą jego niepowodzeniem. Pod tym względem Kurp jest tak nieużyty, że zrzuca z wozu rodzonych ojców swoich, chcących się z kim zabrać do kościoła, jeśli ci się nie zobowiążą wynagrodzić zabrania odrobkiem lub ustępstwem z alimentów, nie bacząc na to, że nie tylko osadę, ale nawet i ten wóz, z którego zrzuca tak brutalnie ojców – od tychże ojców darmo dostał. Bardzo rzadko można spotkać współwłaścicieli osady, którzy by po bratersku wzajemnie sobie pomagali lub też zgodne pożycie dzieci z rodzicami dożywotnikami, że ci ostatni nie potrzebują chować oddzielnych koni dla obrobienia dożywotniej części osady. (C. d. n.)

Dominik Staszewski



Dominik Staszewski w latach 20. XX wieku.

Źródło: MyHeritage, [za:] Maria Wernika Kmocho, *Obraz kurpiowskich gmin powiatu przasnyskiego na przełomie XIX i XX w. w pracach Dominika Staszewskiego*, „Rocznik Przasnyski” 2020, T. 7, s. 114.

[„Życie i Praca”, nr 71 z 3 września 1925 r.]

Z Ostrowia. W dniu 24.VIII br. Szofer Feliks Pruszyński prowadzący autobus na rogu ul. Małczyńskiej [Małkińskiej?] i 3 Maja najechał na Leję Tarnogórę, mieszkankę Ostrowia, powodując natychmiastową śmierć wymienionej.

Z Ostrowia. W nocy z dnia 20. na 21.VIII br. o godz. 2-iej na szosie Wyszaków-Ostrów pomiędzy wioskami Trzcianka-Budy na przejeżdżających furmanów z towarami z Warszawy Berka Hinberga i Hersza Gilbera z Ostrowia, napadło trzech osobników, którzy zatrzymali ich, kazali zejść i postawili przy wozie, gdzie jeden z nich z nożem w rękę pilnował ich, a dwaj rozbili pakę, w której były kołdry watowe, które zrabowali i zbiegli do lasu



Ostrów Mazowiecka, wrzesień 1939. Wzięci do niewoli polscy kolejarze (opis niem. *Gefangene Eisenbahner 1939. Ostrow Mazowiecka*).

Źródło: Fotobethge Militärlhistorische Antiquitäten, [za:]
portal Pancerne Wraki 1939 wraki39.pobitwie.pl.